



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50. W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Dzień Zaduszny przyszedł, jak białe widmo z poza grobów, w śnieżnej szacie, którą rozesał po ziemi.

Odrazu zima mroźnem tchnieniem wionęła na świat, ku przerażeniu biednych a pociesze.... skłaników węgla, których się w tym roku szczególnie namnożyło w Warszawie.

Łaskawe słonko nie zmrzyło jakoś oka i ze szczególniejszem przymileniem przypatrywało się starej swej kochance, co białą negliż tak szybko zarzuciła na niezdartą jeszcze suknię jesienną. Gdzieś, kiedyś, jakiś młody felietonista rozwozł się szeroko nad tajemnym związkiem natury z duchem i utrzymywał, że w każdą Niedzielę i większe święto bywa pogoda, aby rozradować serca ludzi i usposobić je lepiej do chwały Bożej.

Felietonista ten musiał być bardzo młodym, albo bardzo idealnym, skoro takie wnioski wysnuwał w swych moralno-meteorologicznych spostrzeżeniach: niechże mu to wybaczą ci, którym w niejedną niedzielę dobrze zalało za kołnierz. Nie posuwając się wszelako do takich ostateczności, można i na ten temat owiele prawdziwszy postawić wniosek, że między niebem a ziemią jest rzeczywistość związek, który wpływa niemało na sprawy serca ludzkiego, ale o tyle, o ile to jego objawów dotyczy.

Weźmy dla przykładu Dzień Zaduszny; pogoda bywa w nim istnym probierzem pietyzmu, pamięci i uczuć dla zmarłych. Kiedy przypadnie święto grobów w słotę, cmentarze słabo się ożywiają, smutno w nich, na mogiłach mało jest wianków i światłeczek, mało tej całej ostentacji żywych dla drogiej cieniów nieboszczyków.... Na grobach

spotyka się tylko prawdziwą żalobę, ciężki smutek wdowi i sierocy, ślady tej niewygasłej pamięci, którą odżywia krwią brożące serce, zobojeźniałe na wszystko, co jeszcze między niem a ukochanym grobem pozostało.

Ale gdy w Zaduszki pogoda dopisze, potrzebny i niepotrzebny, swój i nieswój, smutny i wesoły wybiera się w dzielnicę umarłych, aby nietylko sercu, lecz i ciekawości swojej zadosyć uczynić. Nawet groby jakiś inny przybierają pozór, jakby nie kryły w swem łonie ofiar śmierci i zniszczenia. Tłumy śpieszą, niezawsze ze łzą i westchnieniem, niewszystkie z powagą smutku i tą wiarą w stosunek i łączność duchów przed i poza grobem, z cichą a rzewną modlitwą za „spokój i wieczne odpocznienie“ dusz zmarłych.

O, nie wszyscy—zaprawde!.... Cmentarz w pogodny Dzień Zaduszny zamienia się w widownią tragikomedii żalu i pamięci, na której obok prawdziwego patosu, spotkać się zdarza ludzką śmieszność i głupotę, jeśli nie zgorzniecie.

W tym gwarnym tłumie, rozstrojonym rozmaitemi uczuciami, jakoś dziwnie i nieswojsko prawdziwej żalobie i poważniejszej myśli, co szuka ciszy i samotności i takiego nastroju, jakiego jej pospolite, powszednie życie dać nie może.

Wyznajemy otwarcie, że tak tego roku, jak i lat innych, Dzień Zaduszny na Powązkach przykre nasunął nam reflexyę, za które niewiedzieć kogo obwiniać: czy naturę ludzką, słabą i ułomną, czy własne oczy, że patrzą zbyt czarno, czy taką konieczność pewnych fatków w życiu zbiorowem. Dyssonansem wydał się nam ów gwar, przeplatany śmiechem pustych intruzów, którzy do powagi chwili i miejsca dostroić się nie umieli. Pod pretekstem odwiedzania mogił wciskał się żywioł, dla którego śmierć, byle jak najpóźniejsza — jest tak czechem wyrazem, że uśmiech tylko na usta wywołać może; dla którego cmentarz, czy ogródek—mogiła, czy kopiec, jedno mają znaczenie.

Oto, dlaczego nie może nas zbudować widok

Powązek w pogodne Zaduszki, dlaczego nie wynosimy z nich podnioslejszego wrażenia i wracamy bardziej zasmuceni widokiem żywych, niż grobów, które tylko swem sfinxowem milczeniem protestują przeciw zbyt głośnemu gwarowi—bezmysłnych lub cynicznych przybyszów ze świata.

* * *

W powrocie z dzielnicy umarłych na pierwszym kroku baczny kronikarz codziennego życia Warszawy natrafił na temat *tramwayów*.

Tramwaye, czyli jak chce p. Konrad Prószyński (Promyk) *kolejowce*, a jak na podstawie terminu ludowego na Litwie, radzi p. Kajetan Kraszewski *zeleznice*, stały się Benjaminkiem spraw bieżących, chociaż w krótkim swoim, zaledwie parotygodniowem, istnieniu przekonały nas kilkakrotnie, że na prawdę trudno im stać się w całym tego słowa znaczeniu „rzeczą bieżącą“, bo utykają co krok i ściągają na siebie gromy i gromiki prasy i publiczności.

To młode konie biegać nie chcą posłusznie w zaprzęgu; to śnieg zapełnia szczeliny w relsach żelaznicy i płała figle Towarzystwu belgijskiemu, które śnażyć zapomniało, że podjęło się przedsięwzięcia w kraju, gdzie zima robić zwykła ludziom rozmaitego rodzaju niespodzianki; to wreszcie nie można żadną miarą uregulować biegu omnibusów i t. d.

Dość na tem, iż tramwaye warszawskie zaczęły swoją istność na grudzie i idzie im jak po grudzie od samego początku.

Dziwna to rzecz, że u nas najłatwiejsze rzeczy najtrudniej się udają i najwięcej ludziom sprawiają kłopot. Za granicą każde większe miasto ma już oddawna swoje *zeleznice*, i nie potrzebowało irytować się niemi tyle, zajmować i gniewać, co Warszawa; ale za granicą owiele też więcej ludzi fachowych, rozgarnionych, zaradnych, niż u nas.

Któżby przypuścił np., że do obsługi nowych tramwayów zabraknie zdolnych woźniców, w mieście, które ma pretensję do sportu i ładnych zaprzęgów? — że trudno będzie znaleźć pewną ilość przyzwoitych jednostek, któreby grzecznie i uprzejmie potrafiły spełniać obowiązki konduktorów i kontrolerów, — że wreszcie w mieście, w którym prosperuje towarzystwo opieki nad zwierzętami, publiczność drapie się gwałtem do wagonów tramwayowych, ciągniętych przez jednego konia z wywalonym językiem i rozumującego swoją końską logiką, iż człowiek jest największym tyranem w całej przyrodzie, nie dlatego tylko, że bat wynalazł, ale, że umie się z zimną krwią znęcać nad innym stworzeniem.

W zeszłym miesiącu rozpoczęła swoją działalność nowa instytucja pod skromną nazwą „Kassy“ imienia ś. p. Józefa Mianowskiego b. rektora Szkoły Głównej. Z kassy tej czerpać mają ludzie nauki dla siebie i dla celów naukowych zapomogi i pożyczki. Pierwszy Komitet, wybrany na dwa lata, składa się z pp. Tytusa Chałubińskiego (prezesa), Stanisława Kronenberga (vice-prezesa), Piotra Chmielowskiego, Karola Deikego, Konrada Dobrskiego, Mściława Godlewskiego, Władysława Holewińskiego, Jakóba Natansona, Henryka Sienkiewicza, Franciszka Śliwickiego, Henryka Struvego i Filipa Sulimierskiego.

Przedstawicielstwo to budzące i zaufanie i nadzieję, że „Kassa“ funduszy swych użyje na prawdziwy pożytek nauki, przez wspieranie jej wyznawców, że nie zabraknie jej inicjatywy i zręczności w wyszukiwaniu godnych wsparcia, którzy swą wiedzą, talentem i pracą odwdziżyć się mogą całemu społeczeństwu; że wreszcie nie pozwolą jej stać się zwyczajną instytucją pożyczkową, obracającą pieniędzmi na mały procent, lub nawet bez procentu; ale skorzystają z pięknego celu uczczenia pamięci zasłużonego człowieka i obywatela — w kierunku szlachetniejszym, wyższym i dla nauki prawdziwie dobroczynnym. Ze strony ogółu należy się Komitetowi jaknajgorętsze poparcie, jaknajżyczliwsze zrozumienie i pojęcie celów instytucji, która może wiele dobrego zrobić, gdy posiadać potemu środki.

Składka rzeczywistego członka wynosi tylko 5 rs. na rok: oile przeto jest ułatwionym warunkiem należenia do Towarzystwa pomocy dla ludzi naukowych, o tyle też większym obowiązkiem dla jaknajszerszych warstw oświeconych, zapisywania się na listę członków, która musi być bardzo długą, jeżeli działalność „Kassy“ ma mieć trwałą i szeroką podstawę.

Samo „Szczęść Boże!“ w najgorętszych wyrazach nie wystarczy: trzeba życzenia poprzeć czynem, jak to zrobili wszyscy obecni przedstawiciele dziennikarstwa i literatury, na pierwszym zebraniu Komitetu w domu vice-prezesa, składając od razu wpisowe i przystępując faktycznie do stowarzyszenia.

Pomimo całej wiary w zdrowszą i bardziej obywatelską część naszej inteligencji przypuszczamy, niestety, iż „Kassie“ trudniej będzie na razie o członków aniżeli Towarzystwu Muzycznemu, które nowym wabikiem ściągać postanowiło warszawskich melomanów w swoje przerzedzone szeregi. Dzisiejszy dyrektor Towarzystwa, p. Zygmunt Noskowski, jeden z najzdolniejszych naszych kompozytorów, a przytem człowiek energiczny i obrotny, zorganizował, jak wiadomo, swoją własną orkiestrę, która miała Warszawie zastąpić Bilsego i Fliegego w Dolinie Szwajcarskiej, podczas lata. Tegoroczne doświadczenia niebardzo zachęciły p. Noskowskiego do wytrwania na obranej drodze; ale, niezrażając się niepowodzeniem materyjalnym z początku, energiczny człowiek w usiłowaniach nie ustaje a używając wszelkich sposobów, aby nauczyć „muzykalną“ Warszawę słuchania „muzyki“, nie z ciekawości i dla mody, — obecnie wegetującemu zaledwie Towarzystwu, na którego czele stanął z poświęceniem osobistym, darował swoją orkiestrę aż do czasu, kiedy liczba członków wyniesie już 1200.

Członkowie opłacający 10 rs. rocznej składki, będą mogli przez cały rok używać przyjemności bywania na stałych wieczorach Towarzystwa w Resursie Obywatelskiej, a nadto w sezonie letnim na koncertach w Dolinie Szwajcarskiej.

Jeżeli to jeszcze nie zachęci publiczności naszej do muzyki, to już chyba owa osławiona melomania syreniego grodu jest... wielką błagą.

Powiadają pesymiści, że Warszawie potrzeba „muzyki zabawnej“, popularnej, któraby przyjemnie drażniła nerwy i trzymała środek pomiędzy repertoarem katarskim a mazurami Lewandowskiego i walcami Straussa; że jeśli Towarzystwo Muzyczne dążyć nie przestanie do jakichś szlachetniejszych celów, to deficyt chroniczny doprowadzi je w końcu do rozbicia, że członkom Towarzystwa Muzycznego potrzeba klubu, stolików z piwem i wesołej rozrywki, jeżeli mają słuchać muzyki i popierać ją naprawdę...

* * *

Kłósy w przeciągu kilku miesięcy ogłosiły już drugi konkurs bardzo blizki związek z pedagogią mający; pierwszy dotyczył planów na budowę wzorowego pensjonatu, drugi ma na celu *Przewodnik higieniczny*, którego wnioskodawcą jest p. Władysław Górski, znany w naszym mieście nauczyciel i kierownik zakładu naukowego dla młodzieży płci męskiej.

Pan Górski spełnia czyn szlachetny, przeznaczając 300 rs. które mu w Czerwcu b. r. ofiarowano jako konkursową nagrodę za prowadzenie pensjonatu, odpowiednio do wymagań nieznanego ofiarodawcy — na premium za napisanie najlepszego względnie podręcznika higieny szkolnej, z któregoby mogli korzystać rodzice, nauczyciele, przełożeni zakładów naukowych, rady pedagogiczne, lekarze, kommisye sanitarne, budowniczowie i t. p.

Programat dzieła, nakreślony przez samego projektodawcę, jest obszerny i wyczerpujący; interesowanych odsyłamy po szczegóły do N-ru 853 „Kłósów“, nadmieniając, iż termin do składania prac konkursowych naznaczony jest na dzień 31 Grudnia 1882 r.

Czasu przeto nie braknie do napisania dzieła, a miejmy nadzieję, że i dobre chęci i zdolności do tego znajdują się pomiędzy naszymi higienistami, których, co prawda, dałoby się na palcach policzyć.

Mówiąc o higienistach, a zwłaszcza o tych, co dla dobra publicznego bez konkursu pracują niezmiernie, winniśmy uznać działalność D-ra Markiewicza, który w ostatnich czasach ze szczególniej ruchliwą energią poruszył mnóstwo spraw zdrowie publiczne mających na celu.

Wniosek jego o zakładanie kolonij letnich dla ubogich dzieci odbił się życzliwym echem w macierzyńskich sercach kilku filantropów naszych i da Bóg — na przyszłe lato dojdzie do urzeczywistnienia. Uwagi D-ra Markiewicza w sprawie assenizacji naszego miasta, dezyniekcji i powstrzymania epidemii, zabierającej coraz więcej ofiar ze świata dziecięcego, zasługiwały na jaknajgorliwsze uwzględnienie; przedewszystkiem zaś należy mu się uznanie za uderzenie na alarm w kwestyi z bezprzykładną lekkomyślnością traktowanej przy szczepieniu biednych dzieci w ambulatorium szpitala Dzieciątka Jezus.

Ambulatorium to służy zarówno zdrowym jak chorym; w jednej i tej samej atmosferze, zakażonej wyziewami i miazmatami dzieci ospowatych, gorączkowych, dyfterycznych, zaszczepiano ośpe dzieciom zdrowym, przynoszonym przez matki po to, aby sobie wprowadzić do domu chorobę, a może i śmierć!...

Oburza się serce i sumienie na taką opieszałość ludzi, którzy z obowiązku i powołania mają czuwać nad zdrowiem publicznym, zwłaszcza tych, co oprócz zdrowia niewiele więcej posiadają w swem życiu.

Do dziedzin higieny należy też wiadomość o zawiązującym się, staraniem D-ra Henryka Stankiewicza, Klubie Rzecznym, który poda młodzieży naszej wyborną sposobność wykształcania sił fizycznych, rozwijania mięśni i hartowania zdrowia, czy to przez pływanie, wiosłowanie, gimnastykę w lecie, czy też przez ślizgawkę w zimie na gładkiej szybie ukochanej Wisłoki naszej.

Klub rzeczny będzie miał swoje „Tusculum“ na lewym brzegu rzeki, i to bardzo właściwie; bo mu się bliższe miejsce w obrębie Warszawy należy od istniejącego już Yacht-Klubu, który mało dotychczas pozyskać sobie umiał zwolenników.

Na zakończenie mielibyśmy obowiązek wspomnieć coś o wiadomościach ze sfer artystycznych i teatralnych; o zapowiedzianych występach słynnej Sary Bernhardt, byleż stowarzyszonej Komedii Francuskiej w Paryżu, malarki i rzeźbiarki, a przytem istoty najbardziej excentrycznej, jaką kiedykolwiek natura uplotła z nerwów w formę kobiety; o przyjeździe, Modrzejewskiej; o poranku zasłużonego artysty naszej sceny, Adolfa Ostrowskiego, który po dwudziestu kilku latach pracy poraz pierwszy zagrał na swój własny dochód i przekonał się, że w Warszawie niezawsze talent i dobra sumienna praca popłacają; o reformach próbowanych i odrzucanych, etc. etc.: ale przedewszystkiem mielibyśmy rozpisnąć się obszerniej nad... dymissją p. Popiel-Swieckiej, której Dyrekcya nie chce nadal skontaktować pod pozorem oszczędności.

O tej oszczędności i o tym pozorze dałoby się bardzo wiele powiedzieć, ale jeżeli mowa jest srebrem, milczenie bywa złotem: więc lepiej będzie milczeć — do czasu.

* * *

Krótko doniosły pisma rossyjskie o zapomnianym Napoleńczyku, który w nędzy u schyłku stuletniego żywota dogorywał gdzieś w Omsku, o żebraczym chlebie, wlokąc się do tej tułumny, w której raz już znajdzie spokój i własny kąt na całą wieczność.

Życie tego starca to cała epopeja, na którą niełatwo się zdobyć nawet fantazyi twórczej artysty.

Posłuchajcie: Jan Adam Skarbek Malczewski, dzisiaj mieszkaniac zachodniej Syberii urodził się 12 Stycznia 1782 r. w Ziemi Łęczyckiej. W pamiętym r. 1812 jako kapitan odbył kampanię rossyjską i walczył pod Smoleńskiem, Wiaźmą, Możajskiem i Małym Jarosławcem.

Kontuzyonowany w lewą rękę zeszedł z pola bitwy wierny swojemu cesarzowi, z którym wrócił do Francji, z którym dzielił złe i dobre losy, wygnanie i sławę na krótko wskrzeszoną.

Po abdykacyi Napoleona szwadron zostający pod dowództwem Malczewskiego odkomenderowanemu został na wyspę Elbę.

Kiedy 20 Marca 1815 cesarz wrócił do Paryża, Malczewski mu towarzyszył; w Kwietniu wysłano go w niebezpiecznej misji do Neapolu, gdzie wziął na swoją odpowiedzialność wywiezienia dzieci królewskich z Gaety. Schwytany przez Anglików na duńskim statku, wydany został Austryakom w Tryeście i dopiero w Czerwcu stanął mógł znowu z powrotem w szeregach Armii Napoleńskiej, dzięki pośrednictwu królowej neapolitańskiej Karoliny, która go z Pragi wysłała z ważnymi depeşami do cesarza gotującego się na bój stanowczy.

Dnia 17 Czerwca Malczewski we wsi Wasbach zameldował się Bonapartemu, a nazajutrz działa pod Waterloo zagrzmiły wielkie *Requiem* sławie i wielkości genialnemu wojownikowi Francji, któremu się chciało dopasować wszystkie europejskie korony na swą głowę.

Przygnębiony porażką ukochanego cesarza, Malczewski odniósł z pola walki bolesny zawód w sercu i bolesną ranę w nodze. Z Paryża, na mocy manifestu Alexandra I, wrócił do kraju i od r. 1818 służył w wojsku polskim, jako podpułkownik.

W trzynastu lat później zesłany został na Syberję.

Stary weteran, inwalid, rozbitek wielkiej armii zamieszkał we wsi Indijskoje, w gubernii tobolskiej, gdzie lat dwadzieścia przebył na jednym i tem samem miejscu, latem pasając bydło, zimą utrzymując się z wyrobu zapalek siarkowych.

Około r. 1850 osiadł wreszcie w Omsku; tu poprawiła się biedna dola jego: zarabiał na utrzymanie w szlachetniejszy sposób, jako nauczyciel obcych języków.

Póki siły starczyły, szło jeszcze jako tako i o kęs zapracowanego chleba nie było tak trudno, ale starość złamać musiała nawet hartowaną w napoleońskiej szkole naturę.

Rząd francuski odmówił mu pensji, do której

prawo nadawał mu order legii honorowej, pozyskany w najświetniejszej epoce Cesarstwa...

I przyszła na zamknięcie takiego żywota nędza sztydci i uragać z przeszłości starca, wyszczerzać do niego w samotności i zapomnieniu zęby szczekające w uśmiechu okropnym

Dzienniki rosyjskie doniosły, że znosić się można z Malczewskim za pośrednictwem przewodniczącej w Komitecie dobroczynnym w Omsku, albo też miejscowego oberpolicmajstra.

OSTATNI LIST

skreślił

A. Ch....

(Dokończenie).

Ale co to jest? W stan dziwny wpadam: już mi nie ciąży nic — błogo mi! Czy mię słuch nie myli? Słyszę coś! Czuję coś! Boże! Tak! Czuję! — Zwolna, majestatycznie, ze wszelkich stron melodya, w górę — ku słońcu! Cudne tony, dźwięki żywe łączą się z sobą, natchnienie wiąże je w harmonijną całość. Zewsząd lecą, wirują, śpieszą do jednego środka. Czuję, widzę, dotykam. Jasniję jak kwiaty. Widzę je, widzę: tu róża błyszczy stulistna, tam skromny fiołek się wynurza, lilie, niezapominajki, bratki — wszystko się w jeden snop kwiecisty wiąże. Słyszę jak jedna melodia drugą podtrzymuje, rozwinę się — już spotęgowała trzecią, utworzyła czwartą, i tak dalej i dalej! Dźwięki, zrazu skłócone, zestrzeliły się w jedność — potężną, porwijącą, czarującą... Brzmi melodia śpiewna, huczy akkord, dźwięczy struna, iskrzą się pienia: wszystkie tony odzywają się, a jeden góruje nad nimi — jedna myśl się wznosi, jedna pieśń tryaska: harmonia powszechna! Słyszę dźwięki pogrzebowe i weselne pieśni, jęk boleści, płacz i okrzyki radości. To pieśń świata, pieśń życia, to życie samo, bo życie i ona — to jedno. Łza przekształca się w dźwięk — i brzmi, uśmiech się w nutę przetwarza — i dźwięczy.

Wszystko, czem się ludzkość szczyci, i wszystko, co ją hańbi, radości jej i boleści, tryumfy i zawody: wszystko znajduje odgłos w tej pieśni natchnionej... Słyszę śpiew uroczy ptaszka i dziki ryk zwierząt. Wicher jęczy, szumią bory, huczą potoki, gwarzą źródła kryniczne, dzwonią kłosa na polu: to natury głosy! Dajcie mi skrzypce! Poznają ją — to pieśń moja! Całe życie nad jednym myślałem, jednego szukałem... Teraz czuję, że znalazłem, że u celu życia stanąłem. To ona, błogosławiona, obiecana, jaką jedyną w życiu wygłosić pragnąłem! Przepowiednia się spełnia... Skrzypiec mi, skrzypiec, zaraz, w tej chwili! Jeżeli skrzypiec niema, dajcie mi inny jaki instrument — wszystko jedno jaki. Chociażbym go nigdy nawet nie widział, zagram: jam teraz natchniony, jam muzyk-poeta, jam król melodyi! — Jam szczęśliwy teraz — pierwszy raz w życiu, teraz dopiero żyję. Dajcie mi teraz korony świata, bogactwa całej ziemi: wszystko odrzucę z pogardą, bo nad tę jedną pieśń nic większego na świecie nie znam.

Losie, straszliwy losie! Och, jam najniebezpieczliwszy z ludzi, bo... nie mogę wyrazić tego, co czuję! Mogłbym, gdybym cokolwiek dźwięcznego pod ręką miał! Okrutna ironia: szczęście i nieszczęście splotły się razem! Panie doktorze! ja padam na kolana, błagam cię! Daj mi skrzypce! Nigdy ich już w życiu do rąk nie wezmę, tylko teraz! Spokojnie wytrwam, gdy mi kroplę po kropli wodę na głowę lać będą. Lekarstwa wszelkie przyjmę cierpliwie. Nie będę nerwować się, waryować — jak mówisz; wszystko spełnię: lecz daj mi teraz skrzypce! Boże! On nie słyszy, lub słyszeć nie chce! Pieśń brzmi... Ona zaraz przebrzmi, a świat jej nie pozna. Długo was nudzić nie będę — skonam prędko! W każdej nucie mej pieśni, cząstka życia mego tkwi:

więc z każdym dźwiękiem melodyi nieśmiertelnej cząstka życia mego zniknie, a gdy ostatni akkord zadźwięczy, ostatnie tchnienie też uleci! Ja — skonam, ale chcę, by dusza moja, którą w pieśń tę przeleję, została pomiędzy wami, abym nie umarł całkiem, abym żył w melodii, żył w pamięci waszej, w ludów pamięci! Albo poczekajcie, ja zagram a wy piszcie, słuchajcie przynajmniej: niech się wam ona w duszę wcieli, w pamięć, niech was przejmie, wstrząśnie — ostatnie słowo moje — pieśń świata! A wy jej usłyszeć nie chcecie... Ludzkość cała zaśpiewa pieśń jedną, trzeba ją tylko wyrazić... a czy rozumiecie? ja, ja mogę to uczynić — spełni się przepowiednia: jam geniusz! Tak, prawda! Nie wątpię o sobie — czuję nadmiar sił! — Dajcie mi skrzypce! Proszę was, błagam, zaklinam — w imię życia mego nieśczęśliwego, w imię ludzkości, w imię was — ślepych! Ja konam — zabiję siebie! Na was ciążyć będzie wina podwójna: pieśń zginie i śmierć mnie zabierze! Dajcie mi skrzypce! Wy, co się chlubicie, że cierpiącej ludzkości przynosicie ulgę, wysłuchajcie mię! Jeżeli nie wierzycie, geniuszu mego nie uznajecie: osłódźcie mi przynajmniej chwilę zgonu, dajcie mi skrzypce, jak zabawkę dziecku.

I tem nawet wzruszyć was nie mogę?! Słuchajcie. Świata brakło melodyi jednej: jam ją odkrył, lecz nie mogę jej wyrazić... Czy pojmujecie taką męczarnię? Fizyczny ból niczem w porównaniu z takim cierpieniem moralnym! Ach, wy stanu, w jakim się znajduję, pojąć — nie możecie! Więc litości żebrzę — ja dumny, zarozumiały, com czoła ugiąć przed nikim nie chciałem, teraz czołgam się, jak robak, u tych drzwi... Żebym je mógł wyłamać?! — Lecz nie! Z włosów mych siwych zrobię struny sobie — drzewo znajdę... Boże! ogolili mi głowę! — Dajcie mi skrzypce! Raz, raz tylko! Bez serca, okrutni! Nie wiecie, co czynicie... Ja wam hymn ten, melodię tę, oddam na własność — ona wam krocie przyniesie! Połóżcie tylko nazwisko moje! Ale jeżeli nawet i tę ofiarę zrobić należy, piszcie wasze — wszystko, widzicie, oddaję wam, nawet — sławę, jedyny cel życia mego! Będę milczał do grobu, blizkiego już grobu, zamknę usta sobie, umrę przed mogiłą!

Dźwięczy pieśń... Leć, leć, brzmij pieśni moja, szczerzota! Niczem przed tobą szczyty karpacie — ty wyżej sięgasz; niczem mórz przestworza — ty je przebiegasz; niczem nieba błękity — ty je przenikasz! Ach, cudne dźwięki! „Da capo“ ten akkord! gdyby można...

Patrzę w przyszłość, bo pieśń moja przeszłość i teraźniejszość odtworzyła już. Świat się dziwi, brzmi cały od okłasków, stawiają pomniki, ryją na spiz, na marmurze imię moje, wielcy świata tego zginają harde czoła, gdy wspomną o mnie, ludzie stają się lepszymi przezemnie. Pieśń moja nieśmiertelna kołysze człowieka w kolebce, w ciągu życia wślad za nim biegnie, do grobu go odprowadza, objia się o gór krawędzie, przebiega pustynie, panuje nad morzami... Na północy i południu, na wschodzie i zachodzie brzmią jedne dźwięki, górują nad innymi pieśniami. Boże! to widzenie przyszłości spełni się — dajcie mi tylko skrzypce! Mnie już na ziemi nie będzie... Mniejsza o to! ale duch mój, w pieśń przeistoczony, zostanie na ziemi i królować będzie nad sercami ludzkiemi; w dziedzinie tonów nieśmiertelna melodia ludzkość zjednoczy!... Ach, natchnienie ulatuje! Znikąd pomocy!... Wszędzie żelazo lub mur, i serca ludzi z głazu! Dajcie mi, choć przytulcie skrzypce do piersi, już stygnącej, albo choć zdaleka pokażcie mi je! Poraz ostatni błagam was. Nie? A więc!... Ludzie, ja konam... Przekleństwo! Skrzypiec mi, skrzypce...

* * *

— Ten waryat, p. Zenonie, do którego pan jechałeś, co — ot to nagryzmolił, umarł parę dni temu. Nakrótka przed śmiercią prosił koniecznie o skrzypce, no! ale jakże mu było dać?! To rozdrażnia nerwy! Mój systemat spokojny zupełnie. A był już na dobrej drodze! dzielna natura: możeby wyzdrowiał... Smutnie skończył: głową o mur uderzył, krew się rzuciła, i... amen!...

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Sąsiedzi, komedia w 4 aktach, Michała Bałuckiego, przedstawiona poraz pierwszy na scenie Teatru Rozmaitości w dniu 15 października r. b. — Wystąpienia gościnne Józefa Rychtera. — Świat nudów, komedia w 3-ach aktach Paillerona, przekład z francuskiego E. Lubowskiego. — Trzy kapelusze, komedia w 3 aktach, pana Hennequin, w przekładzie z francuskiego; obie przedstawione d. 4 Listopada, pierwsza w Teatrze Rozmaitości, druga w Teatrze Małym.

Pan Bałucki napisał swoich Sąsiadów jeszcze przed paru laty; ale ponieważ przedstawiono ich teraz dopiero w Teatrze Rozmaitości: więc komedię tę za nowość uważać musimy. Nowością tą sprawił nam pan Bałucki przyjemność. Podobne dodatnie wrażenie odebraliśmy niedawno od Grubych ryb, wcale niezłej a nawet względnie dobrej, krotoczwili, tegosamego komedyopisarza; odbieramy je obecnie, i w wyższym jeszcze stopniu, od Sąsiadów. Daleko w nich jeszcze do doskonałości, ale są już rzeczy wcale dobre, wskazujące, że autor, gdyby tylko chciał kierować twórczością swoją, gdyby chciał śmiech i dowcip przyoblekać w kształty, jakich artystycznie udratowana satyra dla siebie potrzebuje, mógłby rzeczywiście naszą zasobną komediową wzbogacić utworami trwałą już posiadającą wartość. Komedia wogóle należy do tego rodzaju sztuki, który najmniej pod improwizację się poddaje: a właśnie komedye dawniejsze p. Bałuckiego sprawiają wrażenie takie, jakgdyby tylko w przystępach dobrego humoru improwizowanymi były. Sztuka, która żyć ma, przedewszystkiem w samej architektonice swojej rozumną być musi: a sztuki do tychczasowe p. Bałuckiego najmniej właśnie w budowie samej posiadały rozumną przewodnią, układającą sceny i dobierającą charakterystyk, aby się w nich i przez nie wypowiedziała jaknajlepiej dana myśl satyryczna, *voilà* utworu, słowo jego, założenie obyczajowo-społeczne. Śmiech i dowcip sługami tylko tego rozumu być powinny, a wyobraźnia może mu być tylko towarzyszką, nie panią. Jak trudniej jest określić właściwe zadanie, wydzielić właściwy obszar dla komedii niż dla tragedii, tak trudniej jest również dobrą komedię niż dobrą tragedję napisać. Tutaj talent ma więcej niepodległości i swobodniej w człowieczeństwo zagłębiać się może; tam musi wśród tysiącznych poruszać się zawad, podobny do żeglującego pomiędzy rafami: trochę w bok, a będzie dramat; żdźbło tylko z przeciwną strony, a komedya stanie się, jak domek z kart ułożonem, bawidełkiem, farsą, krotoczwilą, nie zaś wyrazem, wytworem świadomego siebie ducha.

Sąsiedzi tedy są już sztuką, którą do rodzaju, czy gatunku, „komedya“ bez zminięcia się z prawdą zaliczyć można. Główną w komedii tej postacią jest p. Radowski, obywatel ziemski, poczciwy, wylany dla sąsiadów, uczynny dla każdego, załatwiający interesa wszystkich, trzymający stół dla sąsiedztwa całego otwarty — szlachcic polski. Uczuciowy ten człowiek pamięta o wszystkich i o wszystkim, tylko nie o sobie i nie o swoich. Gospodarstwo sżoby u niego jak ajgorzej, a majątek dawno byłby już w rękach żydowskich, gdyby nie ciotka Petronella, niezmiernie energiczna, szorstka w formach, ale delikatna w treści i wcale nie żaźne virago, ani herod-baba, lecz silna, rozsądna, mająca poczucie życia i rzeczywistości istota. Cała energia jej jednak na to tylko się przydała, aby chwilę ostatecznej ruiny opóźnić, bo p. Radowski, — choć ma już córkę na wydaniu, Stasię, o którą uderza później p. Adam Wilecki, coś z wyższej już szlachty, — jest ciągle jeszcze starem dzieckiem i starem dzieckiem też umrze: wstąpi do pracy, niezadowolony, brak rozsądku, nieumiejętność życia, niezrozumienie ludzi, niemożność wyobrażenia sobie jutra jako strasznego ciężaru, który przygniecie, jeżeli w górę pociągnięty nie będzie, wreszcie niezdolność do pocucia odpowiedzialności, a przy tych wszystkich jego własnych wadach, zalety gastronomiczne jego sąsiadów — muszą mu ostatecznie zgotować los, jakiego się od najserdecz-

niejszych doznaje: opuszczenie i żal w chwili ciężkiej dolegliwości majątkowej. Ze złotem sercem swoim Radowski w młodości był „nieocenionym chłopcem“; dziś, w wieku dojrzałym, jest tylko niedołęgą, istotą bez charakteru, niezdolną żyć w świecie: a przecież na tym kochanym świecie *unquibus et rostro* trzymać się potrzeba, aby w przepaść nie zlecieć, jeśli się nie jest wybranym losu, na którego dawne pokolenia zapracowały — pracowały zaś nieraz w pocie, krwi i łzach lekceważonych przez wnuków. Nawet uczuciowość Radowskiego nie może mieć dodatniego znaczenia: jeśli bym już miał być czymś przyjaciele, to nie p. p. Gębalińskich, Tęgasińskich, Doliwów i Golskich: dla takich ludzi leżeć w długi nie byłoby warto, i nawet p. Radowski, choć o jego umysłowości inny sąsiad, człowiek porządny i rozumny, Protasiewicz ma jakniekorzystniejsze a najsprawiedliwsze przekonanie, nawet ten pan Radowski nie przylgnąłby do otoczenia swego, gdyby nie to, że sam lubi dobrze zjeść, wypić i potrzebuje towarzystwa dla tych apetytów swoich.

Podobnych, ale niezupełnie takich samych, Radowskich jest wielu jeszcze w wieku naszym, w tym „wieku egoizmu i brudnego sobkowstwa“: widać, że mimo narzekania moralistów, natura ciągle wytwarza pewien odsetek istot wrzekomo uczuciowych, przypominających dawną sercowość i samym bytem swoim przedłużających tradycję, nie Batorego, zaiste, ale Augustów — choć dzięki Bogu, jednostki dzisiejsze więcej są warte od ówczesnych. Komedyopisarz miał tu niejedną postać żywą ze świata i do wyobraźni uciekać się nie potrzebował. Ten rozpraszaający się i rozpraszający Radowski byłby nie tylko prawdziwym, ale typowym ziemianinem polskim w sferze niepodległej, nie garnącej się ani do plutokracji, ani do arystokracji, ale żyjącej jeszcze w pewnym zamknięciu wiejsko-szlacheckim, gdyby mu autor dał być trochę więcej zdolności i wykształcenia i nie czynił go już tak ograniczonym, że mu się tylko nazwa głupca należy. Samo jednak postawienie przed oczyma takiego Radowskiego z błędną, zgubną dla niego samą, a dla społeczeństwa od egoizmu szkodliwszą uczuciowością, samo przez się podnosi temat żywy i potrzebny i wartość sztuce nadaje. Nie jeden słuchacz odwraca się z gniewem od *Sąsiadów* p. Bałuckiego: to dowód, że sztuka jest potrzebna i że swoje zadanie jako satyra spełnia.

Radowski ma to, na co „złotem sercem“ swoim zapracował. Namówiony przez pochlebę Gębalińskiego, aby, zamiast popierać kandydaturę inną, raczej własną swoją postawił i wszedł do Rady Państwa — rzecz dzieje się w Galicyi — układa zawczasu mowę na zgromadzenie wyborcze, a przy układaniu jej wykazuje całą swą płytkość umysłową i brak charakteru i ośmiesza się doskonale wobec widzów. Oczywiście kochani *Sąsiedzi*, jedząc i pijąc, jednym okrzykiem kandydaturę również kochanego sąsiada przyjmują. Ale nagle staje pokusa: w osobie Hrabiego, przybyłego także dla ubiegania się o mandat, Hrabia odwiedza pana Radowskiego, składa bilety wizytowe innej braci szlacheckiej, przełamuje jej lody demokratyczne, kadzi jej pięknymi słówkami, podejmuje ją wreszcie u siebie, zdobywa, odrywa od Radowskiego, a gdy mu się już całe to tałaństwo z domu wyniosło, nie słówkami już, ale literalnie pokoje po nim wykadzi nakazuje. Zdaje się, że właśnie dzień umówionej z hrabią drugiej narady, jest dniem imienin Radowskiego. Kochany sąsiad przygotował dla swoich najserdeczniejszych sute przyjęcie, czeka i czeka: niko go; wpada tylko Gębaliński dla niezręcznego wyłączenia się. Zamiast gości przyjeżdża komornik. Odkrywa się prawda. Radowski poważnie je przez ból: serce w nim zapłakało. Z chwilowego kłopotu wydobywa go zięć przysły, a śpieszy mu także z wybawieniem i ciotka Petronella, niosąc uciulane oszczędności. Sztuka się kończy. Najserdeczniejsi odpadli od Radowskiego; ale czy on sam do nich nie wróci jeszcze?

Ponieważ p. Bałucki nie jest artystą: więc i jego Radowski nie mógł być artystycznie wykonanym. Pomysłami swymi autor przypomina samego siebie (*Radcy Pana Radcy*); bohaterowi swemu każe się dość jednostajnie poruszać; nie uwy-

datnia jego natury z dokładnością Molière'a lub Fredry; rozprasza uwagę swoją na rzeczy podrzędne, ze szkodą ważniejszych; rozciąga niepotrzebnie malowanie charakteru: ale pomimo to wszystko Radowski jest postacią poważnie komiczną, nakresloną wogóle jędrnie, wiernie, bez karykatury — a ostateczne zanurzenie jej w boleść na krótką chwilę czwartego aktu jest, nie tylko czynnem odwagi komedyopisarskiej, ale prawdziwie dramatycznym, wymownym, przekonującym odwołaniem się do widza. Takich Radowskich niewiele znajdziemy w całej zasobie p. Bałuckiego i możemy o tej postaci powiedzieć: „Ma prawo do życia“. Toż samo powtórzyć się da o jednej jeszcze osobistości: o starej ciotce Petronelli; ale nie moglibyśmy już przyznać takiego prawa żadnej innej postaci w *Sąsiadach*. Gębaliński jest jednostajnym i nieprawdziwym. Któż to pisze sztukę, w której ciągle jedzą i piją, bez miłosierdzia nad widzem? Kto porywa się na takie *salto mortale* psychologii, ażeby psy wieszający kłamca i próżniaka w jednej chwili, bez żadnego przejęcia, bez istotnego powodu, mógł sam, jak pies, lizać stopy nienawidzonego? Obie córki Gębalińskiego, a również i pani Tęgasińska, kołaczą się w sztuce jak kobiółki za wozem: przeszkadzają autorowi, który, nie wiedząc co z nimi zrobić, wprowadza je nawet na prywatne zebranie przedwyborcze do Hrabiego. Sam jednak pomysł ich charakterów jest poważnie satyrycznym: taki ojciec jak Gębaliński, musiał mieć takie córki, jak Nacia i Macia, a taki mąż, jak Tęgasiński, najlepiej mógł się tylko pod pantoflem swej magnifiki wychodować. Smutną ilustracją rzeczywistych, lecz szczęściem, rzadko występujących stosunków społecznych jest Golski, processujący się z włóścianami o lada szkodę, tak sobie, z platonicznej często miłości, przez temperament. Ze wszystkich postaci *dodanych*, najlepszym jest Hrabia; takich spekulantów w arystokracji, otrzymujących instrukcje z Wiednia, nie braknie podobno w Galicyi.

Zadaniem Protasiewicza i Wilskiego, dwóch postaci dodatnich w sztuce, jest utrzymywanie równowagi, niezbędnej dlatego, aby *Sąsiedzi* nie byli pamfletem na szlachtę i na wybory. Obie te postaci jednak nie żyją prawdziwie, nie działają; nawet miłość, której sieć autor na Wilskiego zarzucił, nie wywołała w nim pożądanego dramatycznego ruchu. Zresztą, miłość ta, w pierwszym tylko akcie ma pewne znaczenie dla sztuki; autor nie umiał, czy nie chciał, jej należycie rozwinąć. Osobistości krążące naokoło Radowskiego, sprawiają wrażenie przesuwanej przed oczyma widza galeryi; ileż im jednak braknie do tego, aby rzeczywistą galeryą wytworzyć mogły! Już to p. Bałucki nie opracowuje charakterów ludzkich z rzetelnym artystczym; ma wstręt do rzeźbienia, nie dlatego może, iżby mu brakło zdolności, która prawdopodobnie drzemie nierozwinięta, ale dlatego, że mu cierpliwość nie dopisuje. Nie potrzebujemy ukazywać przykładów francuskich: np. *Najserdeczniejszych* Wiktoryna Sardou, wystarczy przypomnieć *Nietoperzy* p. Lubowskiego, w których również jak w *Sąsiadach* galierowym sposobem występują przed widza różne postaci dziwaków, ale istotnie różne, rozmaite, zosobniane w całości, jedna do drugiej niepodobne i wyraźnie od siebie odbijające. Nie możemy zalet takich dopatrzeć się w Golskim, Doliwie, Tęgasińskim; jeden tylko Gębaliński rysuje się wyraźniej, ale i jemu szkodzi wytknięta wyżej nieprawdziwość psychologiczna i jednostajność formy, w jakiej przejawia się w sztuce.

Wiele zatem, bardzo wiele, braknie *Sąsiadom* do godności komedyi dobrej; ale to w nich już jest dobre, że mogą bez przywłaszczenia nazwać się komedją. Nie przyłączyliśmy się tu do chóru pochwalnego; p. Bałucki pisze już od tak dawna, iż się bez zachęty, młodym siłom potrzebnej, obędzie: woli on bezwzględnie prawdę niż komplement.

Sąsiedzi z Żółkowskim, Ostrowskim i Mazurowską nie mogli być źle przedstawionymi; Radowski prawie całkowite trzy akta swoją wypełnia, a Radowskiego odtworzył ten genialny talent, któremu równych niewiele znajduje się dziś w całym świecie cywilizowanym. P. Ostrowski powinien trochę więcej delikatności do gry swej wprowadzić; zresztą jego Gębaliński mógł się tylko

podobać i słusznie odbierał oklaski. P. Borkowską widzieliśmy poraz pierwszy w roli osoby starszej: nie spodziewaliśmy się ujrzeć jej tak dobrą. Żywioł uczuciowy w grze z roli samej wypływa; zdaje nam się, że inaczej zamiarów autora pojmować nie podobna. Rola nie była jeszcze doskonałą, ale była dobrą, a pamiętać potrzeba, że artystka znajduje się na nowej jeszcze dla siebie drodze. Wróży jej tu większe niż na dawniejszej, powodzenie. Pan Galasiewicz był jakoś w nie-swojej skórze; zresztą mała jego rola całości zepsuć nie mogła. P. Prażmowski niezgorzej przedstawiał się jako Wilski, a p. Leszczyński dobrze pozował na arystokratę-spekulanta.

Rychter występował obecnie przez dwa tygodnie w rolach gościnnych, w komedjach Fredrowskich (*Dożywocie*, *Zemsta*, *Jowialski*, *Pan Benet*) w *Skapcu*, w *Intrydze* i *Miłości*. Powtarzamy to, cośmy już poprzednio powiedzieli: Rychter jest dobrym generałem, ale mu wojsko posłuszeństwo wypowiada, — głos go zawodzi. Najwyższa z jego ról, Cześnik, posiada prawie niekniętą jeszcze potęgę, po tej zaś postaci wspaniałej idzie zaraz Benet, znakomicie oddawany. Zdolny a zasłużony artysta ma scenę naszą odwiedzić na wiosnę roku przyszłego i wystąpi znów w kilku lub kilkunastu rolach.

Świat nudów Paillerona, ze sceny widziany, jest jedną z najzabawniejszych sztuk nowszego Teatru francuskiego, lepszą od innych komedij tego autora, przyswojonych naszej literaturze dramatycznej, od *Iskierki*, od *Muru granicznego*. Utwór ten należy do rzędu zupełnie nowych i w Kwietniu r. b. dopiero przedstawiono go poraz pierwszy w Komedyi Francuskiej, co niejednego, nawykłego już do tradycji sceny naszej, szczerze zadziwić musiało. Tę nadzwyczajność wyłomaczyć sobie można chyba tylko energicznym początkowaniem komitetu nadzorczego. Bądźco bądź dano nam nowość i za nią wdzięcznymi być musimy: gody im rzadsze, tem cenniejsze.

Świat nudów ukazuje nam blagierów, filozofów, poetów i uczonych którzy zdobywają sobie łatwą sławę w salonach przewróconych głów lub ograniczonych gąsek na orle porywających się loty; przed areopagiem kobiet exaltowanych niemłodych już, ale jeszcze niewygasłych, które, wielbiąc naukę, prawdę i piękno papierowe, pod tą osłoną właściwie oddają tylko hołd życiu, zaspakajają uczucia i potrzebę uczuć żywych. Takich blagierów i taki dla nich areopag wytworzył był już w swoich *Kobietach uczonych*, a po części i w *Mizantropie*, Molière. Wszyscy pamiętamy Vadiusa i Trissotina, wszyscy przypominamy sobie typowe zachwyty mieszczkańskiej mamy i jej córek. Pailleron nie zaszedł tak daleko, nie wyrzł postaci swoich tak głęboko, z taką wyrazistością i bezwzględnością satyry, jak wielki komedyopisarz XVII w.; ale zato stanął bliżej przeciętnej rzeczywistości: takich salonów, jak księżny de Réville, musi być sporo we Francyi, i takich blagierów, jak Bellac, i jego towarzysze w krainie wielkich słów i łatwego powodzenia pewno nie braknie. Główna nawet postać *Świata nudów* Bellac, według opinii paryskiej, podanej w korespondencyi *Bluszczu*, ma być samym panem Jakóblem Caro — „de l'Académie“.

Nie wszyscy i nie w zupełności w *Świecie nudów* duchem swoim do niego należą; i to właśnie, że autor nie ograniczył się do jednego tylko rodzaju, czyni sztukę jego zajmującą, jakby z życia wyrwaną, mającą w samej sobie niezbędne dla żywego zajęcia światła i cienie. Dzięki temu w *Świecie nudów* doskonale bawić się, bo kochać, można, a z możliwości tej korzystają dwie pary: Zuzanna de Villers, wychowanka księżny, i pan de Cérans, oraz młode małżeństwo, pp. Raymond. Dwie główne postaci *Świata nudów*, integralnie już do niego należące, Bellac i Lucya Watson, nie wpływają na wody miłości, dlatego tylko, że oboje uczeni, nie mogą się co do naukowego jej pojęcia porozumieć; Bellac wreszcie gotów-by już wyrzec się sporów nauki i spocząć pod wiecznie zielonem drzewem życia, ale sztywna Angielka nie da się ze stanowiska swego: idealizmu wogólnych zasadach sceptycyzmu w przedmiocie miłości, wyparować. Wszystkie te sprawy sercowe stanowią drugie założenie obok głównego, w którym jedna

połowa towarzystwa produkuje, a druga konsumuje głupstwo, z nudami jako ostatecznym wynikiem.

Żywem zwierciadłem odbijającym w sobie całe owo towarzystwo blagierów i próżniaków exaltowanych, jest księżna de Réville, postać przepyszna, doskonale wymalowana. Ta dama wielkiego świata, ze swoim dowcipem i sarkazmem, z trzeźwością uciekającą od abstrakcyj nauki i poezji, biorąca ludzi, jakimi są, przedewszystkiem ze strony namiętności bezpośrednich, bogata mądrością wyniesioną z życia, niezupełnie czystego, i ciesząca się widokiem uczuć, do których sama już jest niezdolną—stanowi nieoceniony dla całego świata nudów *repoussoir*.

W sztuce Paillerona rzecz odpowiadająca tytułowi jest tylko tłem dla rzeczy innej, której tytuł wcale nie wyraża. *Świat nudów* występuje tylko jako szereg pewnych okazów biologicznych; właściwy zaś dramat rozgrywa się pomiędzy osobami do świata nudów nienależącymi: pomiędzy księżną, Rogierem de Céran i Zuzanną. Dramatyczność w tem ściśle zwartem kółku osnuwa się na najpowszechniejszym w sztuce, bo też i najpowszechniejszym w życiu, temacie: na nieporozumieniu. Bierze się *quod pro quo*, wierzy się w uczucie czyjes dla kogoś innego, a nie dla siebie, chwytta się jakiś objaw i mylnie go tłómaczy, ulega się wreszcie wpływowi zazdrości: i oto dramatyczność gotowa. Źródłem widomem wszystkich zawiłań dramatycznych w *Świecie nudów* jest list Bellaca do Angielki, z którego oboje do kochania się przeznaczeni, Zuzanna i Céran, jedno drugiemu czyni kryminal przed trybunałem serca.

Dzięki podstępowi księżny, chcącej gwałtem połączyć z Céranem swoją Zuzannę—prawda się odkrywa. On i ona, oboje zazdrością szarpani, oboje przybywają, nie wiedząc o sobie, na miejsce mniemanej schadzki, spotykają się i przychodzą do wzajemnego wyznania sobie swych uczuć: z chwilą gdy nieporozumienie umysłów ustało, musiało się zacząć porozumienie serc. Jest to jedna z najpiękniejszych scen, jakie nam zdarzyło się spotkać w komedypisarstwie nowoczesnem, i nie przesadzimy, gdy Paillerona z powodu tej sceny uznamy za artystę-psychologa i prawdziwego poetę: poeta był on już i przedtem, chociażby tylko w *Iskierce*.

Cała robota sztuki jest kunsztowną, elegancką. Charakterów w niej niewiele, mało jednostek wybitnych; ale cały demos żywy jest i zajmujący. Biorąc dzieło na wagę kunsztu dramatycznego, nie podobna nie dostrzedz doskonałości aktu II: taki akt napisać, zadanie to niełatwe. Wszystko tu trzymane jest w mierze prawdopodobieństwa życiowego; wszystko, dalekie od karykatury, wystarcza jednak do ośmieszenia; a dobry ton, którym w typowych swoich postaciach nie potrzebowaliśmy kępować się Molière, nie opuszcza ani na chwilę tych blagierów, wzajemnie się wyłączających, pełnych nienawiści ku sobie, zabiegających drogą jeden drugiemu w gonitwie o posady uczone, — lecz zobowiązanych przedewszystkiem do przyzwoitości. Naturalną jest i mama Céran, chcąc synkowi łatwą synekurę sławy zapewnić choćby z pomocą podprefekta, i owa Angielka Watson, i St. Réault archeolog i Bellac filozof, prawiący niestworzone rzeczy o miłości, najulubieńszym, a w *tête à tête* z Angielką subiektywnie traktowanym, temacie, i wreszcie des Millets, autor tragedii *Filip August*, noszonej od piętnastu lat w kieszeni. Mają to do siebie Francuzi, z wyjątkiem Dumasa młodszego, ma i Pailleron, że umieją ruch i życie do sztuk swoich wprowadzać. Tu wszystko żyje, wszystko trzyma się o własnej sile; różnorodność charakterów, drobna przypadkowość życia, bezwiedne przejawy ukrytych popędów, urozmaicające zawsze całość zjawiska, znajdują prawowite dla siebie miejsce obok głównej dążności dramatu, która już naturę określa, ogranicza i do pewnego stopnia kępować musi. Ta właśnie sztuka odzwierciedla bezwiedności, będącej naczelnym znamieniem życia obyczajowego w komedii, Francuzi zdobyli sobie przodownictwo w dramaturgii nowożytnej świata całego. W ich utworach upatrujemy zwykle realizm: widzielibyśmy lepiej, gdybyśmy upatrywali dokładność, pełność życia. „Realizm“ jest wyra-

zem niedobrym; niewłaściwie podciągamy pod niego wszelką brzydotę, gminność i wyuzdanie zmysłowe.

W jednym tylko szczególe sprzeniewierzył się Pailleron dobremu tonowi, a co więcej szlachetności pomysłów, która go zawsze zaleca: wprowadził do sztuki młodego podprefekta z żoną, niedawno zaślubioną i choć komiczne ztąd wysnuł położenia, sadze zostaną sędziami.

Świat nudów na drugim przedstawieniu (dnia 5 b. m.) odegrano dobrze. Wielki medal (złoty należy się pannie Wiśniewskiej, która Zuzannę odegrała tak, iż rola jej drobnych tylko potrzebuje poprawek—mianowicie powściągnięcia zbyt dziecinnej żywości w akcie I—aby mogła być doskonałą. Liryczność w dwójmowie z Rogierem w akcie III była objawem skończonego już artyzmu. Pani Ostrowska sprawiła nam miłą niespodziankę: takiej księżny de Réville nie spodziewaliśmy się po niej. Zachęcamy artystkę do wytrwania w nowym kierunku, jak się zdaje, dla zdolności jej najodpowiedniejszej. Bellac nie jest dla p. Szymanowskiego, a Miss Watson dla panny Rapackiej. W grze innych artystów nic nas ani bardzo złego ani dobrego nie uderzyło; powiemy tylko, że hrabiny i margrabiny nieosobliwie się przedstawiały w akcie II. a p. Wolski przesadzał. Całość szła składnie, dość żywo—i sprawiała dobre wrażenie, potęgowane jeszcze przez staranność w układzie i wystawieniu sztuki.

Przekład odznacza się potocznością. Wysłowienie jest takim, jakim w dramatach być powinno; niema w niem tej bezwzględnej poprawności literackiej, która w obrazie życia konieczności sztywnością razić-by musiała i to właśnie jest wielką tego przekładu zaletą. Widać tu pracę człowieka, który sam dużo pisze dla sceny.

Jednego i tegosamego wieczora przedstawiono *Świat nudów* w Teatrze Rozmaitości i *Trzy kapelusze* p. Henequin w Teatrze Małym. Po *Processie Veauradieux*, po *Pannach na wydaniu*—nie potrzeba już umyślnie pisać o tej nowości, zupełnie z dawniejszemi jednorodnej; co się powiedziało o tamtych, stosuje się i do tej: sowizdrzalstwo niesmaczne.

Stanisław Krzemiński.

LISTY KRAKOWSKIE.

Kraków d. 1 Listopada 1881 r.

Co nas głównie zajmowało w ciągu ostatnich kilku tygodni.—Zamknięcie sejmiku.—Spory snop uchwał ciała prawodawczego.—Bank krajowy.—Uchwały dotyczące: szkół rolniczych w Czernichowie i Dublanach, szkół rolnych ludowych, regulowanie rzek, przemysłu ludowego; konwersya pożyczki z r. 1873; ustawa kwatunkowa.—Niepoprawność tutejszego języka parlamentarnego. Sprawa ubogich.—Inicyatywa prezydenta.—Narady w magistracie.—Dwa projekta i dwie komisje.—Spodziewane rychło i pomysły załatwienie palącej kwestyi.—Dziewięćdziesięciu nowych uczniów zapisanych do Akademii Sz. Pięk.—Ruch w pracowniach malarskich — *Rzeczpospolita* *Babińska* Jana Matejki.—*Ateliers* młodych malarzy krakowskich.—Żmurko, Buchbinder, Hencisz, Rossowski, Koniuszko, Wojciech Kossak, Fałat i Tondos.—Bogate plony ich prac.—Wspomnienie pośmiertne.

II.

W ciągu ostatnich kilku tygodni jedynie tylko obrady sejmowe zajmowały nas gorąco. Sprawy doniosłe pociągały ku sobie wszystkie poważniejsze umysły i serca miłujące kraj szczerze i usuwały na dalsze plany wszystkie nasze miejscowe, drobne sprawy. Jakkolwiek przed tygodniem (d. 24 z. m.) zamknięto podwoje sali sejmowej we Lwowie i posłowie rozjechali się do domów, dyskusje przez nich prowadzone nie przebrzmiały jeszcze i nie przebrzmiały dość długo, tegoroczny bowiem snop uchwał wcale spory i plenny w ziarno nadziei. Wogólności cieszymy się tu z dodatnich rezultatów, jakie sessya tegoroczna przyniosła. Pod znakomitem kierownictwem takiego marszałka, jakim jest Zybkiewicz, nasze ciało prawodawcze tracić zaczyna poniekąd partykularny, małostkowy charakter i wznosi się na stanowisko wyższe, rokujące dobrą przyszłość dla zadań, któ-

re w następnych latach przyjdą pod jego rozstrzygnięcie. Sejm wstępując na drogę wszechstronnej poprawy smutnych naszych ekonomicznych stosunków, ustanowił Bank Krajowy, instytucją o szerokim zakresie działalności, która dać może stałą, trwałą i systematyczną opiekę materialnym interesom naszego kraju. Następnie podwyższył uposażenie szkół rolniczych w Czernichowie pod Krakowem i w Dublanach i uchwalił zaprowadzenie szkół niższych rolniczych — „ludowych“ — jak je właściwie nazwał pan marszałek. Przyznano znaczne subwencje na uregulowanie rzek nie zapomniano o przemysle domowym, a chociaż uposażenie przyznane musi wydawać się drobnem, daje ono jednakże otuchę, że zczasem i przemysł rękodzielniczy może liczyć na materialną opiekę i pomoc sejmu. Uchwalając konwersyę pożyczki z r. 1873, sejm oszczędził krajowi na długie lata znacznych wydatków, a przez uchwalenie ustawy kwatunkowej i przeznaczenie znacznych funduszy na cele w niej wskazane, dopomoże niezawodnie do tego, aby dzisiaj bardzo dotkliwy dla włościan ciężar utrzymania żołnierzy po domach, został stanowczo usunięty. Streszczając w krótkości tegoroczną działalność sejmu galicyjskiego, pomijamy zadania mniejsze wagi, pomijamy także i to, co krytykować by można: idziemy tylko śladem ostatniej mowy marszałka, którą zamknął posiedzenia parlamentarne i to tylko wskazujemy, co i on wskazał. Przy powołaniu się na mowę p. Zybkiewicza, mimo woli nasuwa się pewne spostrzeżenie, które ochoćta bierze tu zanotować w przelocie. Oto inni mówcy sejmowi mówią może świetniej od niego, żaden jednak nie wygłasza tego, co ma do powiedzenia, tak poprawnie po polsku, jak marszałek. Prawie wszyscy inni płaczą się i nurzają w tyśiącznych terminach, albo obcych, albo niemających nic wspólnego z charakterem naszego języka, a które ukute zostały niezgrabnie i bezmyślnie przez dziennikarstwo galicyjskie na użytek galicyjskiego parlamentaryzmu i administracji autonomicznej. On zaś, jakkolwiek mimowiednie czasem popada w zasadzki i wyniki tutejszego stylu politycznego, oile może ich unika, oile może strzeże się lamigłówek, które od pewnego czasu mowę galicyjską *naszpikowano*, tak, że wydaje się ona jakąś gwarą, *argotem*, a nie cudnym językiem Kochanowskich, Skargów, Śniadeckich, Mickiewiczów, Rzewuskich i Szajnochów. Wyrazów cudzoziemskich język żyjący bezwzględnie odpychać nie może. Pewne pojęcia wyrobiły się gdzieindziej wcześniej niż u nas i wcześniej dostały nazwę poza granicami kraju naszego: nazwę taką w pośpiechu przyjąć należy, zanim z łona potrzeb miejscowych wykwitnie czyste polskie miano; ale szkaradzić śliczną i harmonijną mowę naszą zwrotami cudzoziemskimi, — to zbrodnia prawdziwa. Tutejsi jednak mówcy parlamentarni, tutejsi literaci, a szczególnie tutejsi dziennikarze, tak lwowscy, jak krakowscy, pastwią się codziennie prawie nad językiem polskim w sposób nielitościwy i niekiedy przelewają tę zarzę i do gazet warszawskich. Czas byłby w istocie, aby raz już temu złemu postawić tamę, a o sposobach urzędystwistnienia dobrego zamiaru pomówimy w innym liście.

Tymczasem przejdźmy do spraw domowych najbezpośredniej nas obchodzących a będących na dobie. Jątrzy się u nas oddawna rana ubóstwa. Od pewnego czasu pauperyzm wzmagą się w Krakowie niesłychanie, a nadto tłumy próżniaków, wykolejonych, rozbitków, ludzi niechających lub niemogących zająć się pożyteczną pracą, oblegają dość liczne nasze instytucje dobroczynne, starając się wyzyskać dla siebie fundusze przeznaczone dla prawdziwie potrzebujących. Niema rzeczywiście nic smutniejszego nad przekonanie rozpo- wszechniające się w pewnej mniejszości — z przyczyn uzasadnionych albo nawet i nieuzasadnionych — że taka lub inna instytucja dobroczynna wspiera próżniaków, a nie ma grosza albo chleba dla rzeczywistych nędzarzy. Daje to bowiem do myślenia, że brak opinii lub apatya może poniekąd wytworzyć stan, w którym podejrzenia będą usprawiedliwione. Złemu takiemu podciąć należy korzenie natychmiast i sprawę dobroczynności publicznej dotyczące wyprowadzić na jaw, przeko-

nać malkotentów i opozycjonistów, że rzeczy stoja inaczej, że ofiary ogólne spływają tam rzeczywicie gdzie prawdziwa niedola i ubóstwo wymagają wsparcia i pomocy. D-r Weigel, prezydent miasta Krakowa, zrozumiał dobrze tę konieczność. Z jego też inicjatywy rozpoczęły się w przeszłym tygodniu na ratuszu posiedzenia przedstawicieli różnych tutejszych instytucji dobroczynnych, mające na celu doprowadzenie do skutku porozumienia między różnymi stowarzyszeniami dobroczynnymi. Zadaniem tych narad będzie położenie tamy wzmagającemu się pauperyzmowi, wyzyskiwaniu równoczesnemu różnych stowarzyszeń przez jedne i te same indywidua, słowem — dobre i właściwe uorganizowanie dobroczynności publicznej. Zamiarowi temu należy serdecznie przyklasnąć, a zamiarowi inicjatorowi wyrazić wdzięczność za podjęcie tego szlachetnego i rozsądnego zadania. Narady takie odbywały się już przed trzema laty. Dzisiejszy prezydent je wskrzesza, zapowiadając, że będą się często powtarzać, dopóki nie doprowadzą do stanowczych i pomyślnych rezultatów. Kwestyą tą zajmował się już dawniej professor Zoll, który nawet napisał w tym względzie obszerny materiał, zamieszczony niegdyś w *Czasie*, proponując w nim zaprowadzenie księgi ubogich wspieranych przez różne towarzystwa i otworzenia biura ubogich w magistracie. Nadto hr. Ludwik Dębicki, oile wiem, współpracownik wspomnianego dziennika, projektował utworzenie domu dobrowolnej pracy. Dwa te wnioski służyły za tło główne pierwszej narady. Projekt księgi ubogich wprowadzony już został poniekąd w życie; księgę taką bowiem posiada już Towarzystwo Św. Wincentego a Paulo w porozumieniu z Arcybactwem Miłosierdzia. Chodziłoby zatem obecnie tylko o rozszerzenie spisu i o udzielenie go innym instytucjom, oraz o stosowne korzystanie zeń, tak przez zakłady dobroczynne jak też i przez władzę miejską, któraby kontrolowała poniekąd rzeczywisty stan majątkowy rodzin ubogich wspieranych, oraz badała dokładnie ich przeszłość. Ażeby obmyślić odpowiednio potemu środki, wybrano kommisję, do której wszedł professor D-r Zoll; do zbadania zaś projektu domu pracy dobrowolnej, wyznaczono także osobną kommisję z trzech członków złożoną. Obie one mają w ciągu dwóch tygodni ukończyć swoje prace, przedstawić odpowiednie projekty, nad którymi zgromadzenie powołane przez D-r'a Weigla na następnych posiedzeniach obradować będzie. Nie wątpimy, że dobre chęci i gorliwy trud uwieńczone zostaną pomyślnym skutkiem dla pałacej sprawy ubogich w Krakowie.

Porzucamy smutną nędzę, aby wejść w bogatą i cudną krainę sztuki, gdzie kwitnie wiecznie młode drzewo nadziei i pomyślności. W ciągu bieżącego miesiąca rozpoczęły się nanowo wykłady w Akademii Sztuk Pięknych. Dziewięćdziesięciu nowych uczniów zapisało się do tej szkoły wyższej, świadcząc wymownie o żywotności zakładu, doskonale kierowanego przez swego dyrektora a naszego wielkiego malarza. Rzeczywiście w dziedzinie malarstwa, panuje u nas ruch znamenity, zdwojony obecnie przez spodziewane otwarcie w Wiedniu (za cztery miesiące) międzynarodowej wystawy sztuki. Sam mistrz daje ciągły przykład energicznej pracy. Dbały o dobro swoich uczniów, zajmujący się niemi gorliwie i serdecznie, sam tworzy ciągle nowe arcydzieła. Najnowszym jego utworem jest *Rzeczpospolita Babińska*, obraz pełen uroku, w którym artysta odwzorować pragnął wesołą i humorystyczną stronę życia umysłowego Polski w XVI wieku. Nie potrzebujemy, zdaje się, zaznaczać tu, że olbrzymi talent Matejki wyszedł i tym razem zwycięsko z nowego dłań i bądżcobadź trudnego zadania. Reprezentanci nauki, literatury i sztuki z czasów złotej epoki piśmiennictwa i historii naszej, wprowadzeni na płótno pędzlem wielkiego malarza, żyją, śmieją się, żartują — ogrzani piękną przewodnią myślą twórcy kompozycji. Ukazują się nam oni w sady Babina, u pana Pszonki, w akty dość skomplikowanej, a jednakże pełnej naturalności i ruchu. Silny rysunek i charakterystyka przedziwna odwzorowują ich doskonale. Widzimy na obrazie: Mikołaja Dzierżgowskiego arcybiskupa gnieźnieńskiego, Marcina Bielskiego, Bekwar-

ka, Jana Kochanowskiego, Bartosza Paprockiego, Andrzeja Trzycieskiego, Stanisława Pszonkę, Kaszowskiego sędziego lubelskiego, Orzechowskiego z żoną Magdaleną Chelmską, błazna Gąskę, Oleśnickiego, pana Ślasy, o którego olbrzymim nosie wspomina Kochanowski w swych *Fraszkach*, Jana Firleja kasztelana lubelskiego, Jana Łaskiego, Podlódowskiego, doktora Montanę, Frycza-Modrzewskiego i wielu innych. Pomimo tego natłoku kompozycya przedstawia się w całym wdzięku starodawnej prostoty i tryska dziwnie sympatycznym staropolskim humorem. Komiczność ani na chwilę nie razi karykaturą. Czuć, że rozmyślmiarkował porywy satyrycznej werwy, a *Rzeczpospolita Babińska* stała się tem, czem ją chciał artysta uczynić, to jest kartą, wyrwaną z dziejów oświaty naszego narodu.

Młodzi pracownicy na niwie malarstwa nie próżnują także. We wszystkich *ateliers* czynność tętni pełnią życia. Żmurko kończy duży obraz przedstawiający *Neronu* patrzącego na zwłoki Agrypiny, wyrzucone na wybrzeże przez wzburzone fale morza. Buchbinder, oddany cierpliwie *Zygmuntovi III-mu w pracowni złotniczej*, lubuje się ze starannością iście flamandzką w tysiącznych drobnych szczegółach *martwej natury*, którą umie tak wytwornie malować. Herneisz komponuje *Wita Stwosza* przedstawiającego radnym miasta swój przepyszny ołtarz z Maryackiego kościoła. Rossowski energicznymi rzutami pędzla przenosi barwy z bogatej swej palety na *Wjazd królowej Jadwigi do Krakowa*. Koniuszko w rodzajowym obrazie *Przyjęcie terminatora* tworzy nowy, doskonały odpowiednik do swego dawniejszego *Blaumontagu*, który zjednał mu tak jednomyślne i gorące pochwały. Wojciech Kossak, grupuje udatnie żołnierzy w nowej swojej *Rewii*. Fałat i Tondos, akwareliści, na różnorodnych tematach kładą piętno swoich niepospolitych talentów. Słowem: pracownie nasze przedstawiają bogaty i obfity plon, jakiego pozazdrościć-by nam mogły społeczeństwa szczęśliwe, mogące się oddać niepodzielnie cichej i produkcyjnej pracy na urodzajnym polu sztuki.

Ostatnie wyrazy mojej dzisiejszej korespondencji poświęcić muszę żałobnej wzmiance o s. p. Władysławie Noskowskim, literacie i dziennikarzu, który w kwiecie meżkiego wieku, zmarł niedawno, po ciężkiej i długiej chorobie, we Lwowie. Serdeczna przyjaźń i długoletnie koleżeństwo łączyły mnie z nieboszczykiem. Był to umysł bystry, obejmujący wiele. Okoliczności i losy zmienne rzucały go na rozmaite stanowiska. a na każdym złożył on dowody niezwykłych zdolności. Był nauczycielem muzyki i śpiewu w Szwajcaryi, professorem chemii w szk. le rolniczej w Dublanach, dziennikarzem w Warszawie, wszędzie równie czynny, ceniony, pożądanym. Poeta z natury, dla chleba wprzód musiał pióro swoje do rydwanu prassy codziennej, ale nie pozwolił sobie zgnieść sympatycznego talentu pod warczącemi jego kołami. Wśród najcięższej, rzemieślniczej, co mówię, wyrobniczej nieraz, pracy, jaka często musi być udziałem dziennikarza polskiego, tłómaczył *bajki* Lafontaine'a, a przykład ten dał mu dobre i trwałe imię w naszej literaturze przyswajającej. W utworach jego oryginalnych wierszem i prozą wiał duch swojski, uczciwy, wykwinny, chociaż często satyryczny. Zalecą pióra Noskowskiego był zdrowy, chłopski rozsadek, który na nieszczęście jest jedną z najrzadszych rzeczy w piśmiennictwie. Nieboszczyk był dziennikarzem doskonałym, w całym szerszym znaczeniu tego wyrazu. Myśl w głowie jego rodziła się niemal razem z faktem, wykrzesywana w jednej chwili, jak skra z krzemienia. Pisał prędko, żwawo, a wrzawa redakcyjna zdawała tylko jego działalność. Jako kolega wiele cennych posiadał przymiotów — i w sercach też kolegów swoich szczerzy żal po sobie zostawił.

LEGENDA O LILICIE.

Pod słońcem niema nic nowego: wierzymy w to oddawna. Często też nasuwa się nam pytanie: czy jest w świecie ludzkim co starego, to jest, czy w porównaniu z milionami urodzin, jakie żywiły natury obekodziły, wiek każdego żywiołu oraz idei w mikrokosmie ludzkim nie jest jakby wczorajszym? W porównaniu z odwiecznością wszechrzeczy Adam i patriarchy żyli, jakby przed godziną. Jeśli wspomnienia o nich rysują się niewyraźnie w naszej ograniczonej i krótkiej pamięci, winien temu nawał świeższych wrażeń i niestałość molekułów nerwowych, na których wspomnienia wrażeń się zapisują. Systemata filozoficzne i doktryny społeczne, rozbierane przez mijające po sobie pokolenia, także nie posiadają określonego wieku; nigdy nie nowe, nigdy też nie tracą nowości. Są one jako klawisze, kapryśną a biegłą poruszane dłonią. Odzywają się w rozmaitych epokach historycznych. Brzmia dłużej lub krócej, ciszej lub głośniejsze. Przebrzmiewają, aż do zapomnienia, ale każdy z tonów uciszonych może się odezwać w chwili najmniej spodziewanej, z siłą niepojętą. Takie przebudzenie uspionego dźwięku, witane jako nowość przez współczesnych, jest tylko jedynie powtórzeniem dawno słyszanego głosu.

Na objaśnienie powyższych, rzekomych paradoków może posłużyć opowiadanie, wyjęte z ust siwobrodego gospodarza naszego w pewnym miasteczku na Pokuciu, gdzieśmy raz przebyli kilka tygodni pokuty. Mieścina ta była najsmutniejszem mrowiskiem ludzkim, jakie sobie można wyobrazić. Było w niej bardzo trudno o książki głębszej wartości. Rozmów z sąsiadami nauczyliśmy się unikać, bo zawsze wpadały w końcu w granicę spraw małomiejskich i bywały zaprawiane ploteczkami o cudzych interessach. Z usposobieniem tych ludzi do wtykania się w sprawy obce szła w parze gruba nieznajomość spraw własnych. Wiała z nich dziwna atmosfera rubasznosci, wścibstwa, niedelikatności w narzucaniu swych wizyt, rad i krytyki. Obok tych nieprzyjemności dawał się czuć w mieście dotkliwy brak wszelkich środków zwykłe do zabijania nudów służących. Czasopisma, przychodzące do nas w liczbie tak szczupłej, że jeden egzemplarz na 200 dorosłych mieszkańców wypadał, były po większej części w mowie obcej i wstretnej. Z potrzeb, nazywanych niezbędnymi do komfortu przez społeczności ucywilizowane, jedna tylko przychodziła regularnie do naszego zacofanego gniazda: zadawnione mody. Sztyk i gust w garderobach córek i żon urzędników i obdłubionych mieszczan, co się snuły wciąż pod naszymi oknami, jakgdyby nie miały co robić w domu, przypominał Paryż przeszłoroczny, ale stan umysłowy wszystkich mieszkańców bez wyjątku przypominał śnieżną chatę Eskimosów, do której bardzo już dawno nie zajrzała żadna z wypraw podbiegunowych, przynoszących owym ludziom wieści o ważnych, pięknych zagadnieniach świata wielkiego. Myśli, utwory, walki i bóle ostatnich lat kilkudziesięciu były im tak obce, jak życie człowieka na księżycu.

Czyż dziw, że w rozpaczliwej pogoni za rozrywką rzuciliśmy się tam w objęcia gospodarza starozakonnego, będącego typem ze wszech miar godnym poznania?

Uchodził on między współwyznawcami za najgłębszego erudyta w okolicy. Strawił życie nad księgami, przechowującemi mądrość licznych rabinów w tajemniczym języku i charakterach. Umiął też mnóstwo klechd, przekazanych przez liczne pokolenia wybranego narodu. Trudno-by sobie wybrać lepszego przewodnika do nieznanego, dziwnego, — literaturze Aryjczyków obcego świata filozofii i poezji. Niejedna z jego baśni poruszała temata, hipotezy i doktryny, któreśmy mylnie mienili oryginalnymi pomysłami bieżącej epoki. Dawność jego legend była niewątpliwą: więc nie one były plagiatami naszych pomysłów.

Miedzy innymi gawędami usłyszeliśmy także opowieść rzucającą promyk światła na początek kontrowersyi, o której często zdarzyło nam się czytać, jakoby była chorobliwym zjawiskiem bezbożnego wieku, powstałem za granicą, naleciałem do nas niepotrzebnie, grzybem niezakorzenionym ani w przyszłości, ani w instynktach ludzkich—więc rzeczą bez żywotności nieśmiertelnej, którą jeden cios maczugą oburzenia lub lancą sarkazmu straci w nicość zapomnienia. A jednak odwieczna legenda, przez mądrych rabinów przekazana zdaje się wskazywać, że ta dysputa jest starą — nie powiemy starą jak świat — ale starszą od piramid, i od złotego wieku poetów, i od matki Ewy nawet, albowiem wszczęła się w przedhistorycznym brzasku rodu ludzkiego, o którym Talmud jedynie wspomina, gdy Lilit była jeszcze towarzyszką Adama w raju — owa Lilit, z której nazwiskiem spotkalimy się raz w „Bluszczy“, jeśli nas pamięć nie zwodzi. Przeznaczona, według podań hebrajskich, na pierwszą matkę ludzkości ustąpiła miejsca tak zaszczytnego Ewie, z powodów wymienionych poniżej.

O tej mytycznej Lilicie opowiadał dużo nasz arendarz-erudyta, przedstawiając ją jako pierwszą „emancypantkę“. Przytoczył jej słowa, dziwnie podobne do frazesów, jakimi dziś się posługują ci, którzyby pragnęli widzieć pleć słabszą równoupsaloną w godność, w niezależność, wiedzę. Wszystko zaś, co ich konserwatywni przeciwnicy odpowiadają, wygląda nakształt pleonazmu słów, jakimi Adam gromił zuchwałe upominanie się towarzyszek o współudział w zarządzie błęgiego ogrodu.

Według tradycyi rabinistycznej, udzielonej nam przez naszego gospodarza, Lilit była białogłową płochą, ciekawą i krnąbrną, od której Adam doznał mnogo przykrości w krótkim pożyciu małżeńskim, w końcu zaś wygnął ją z raju, wraz z jej potomstwem, z którego się rozrodziły „córci ludzkie“, — a te były piękne. Ale nawet ta kara nie wyleczyła Lility z ciekawości niepoohamowanej, albowiem rabini kończą jej historję tym epilogiem, że została skazaną na obłubienicę szatana — którą to karę gospodarz nasz nazwał ze wszelkim miar sprawiedliwą. My wszakże przyszliśmy do innej konkluzji. Własne jego słowa zarysowały Lilite w naszym uznaniu jako męczennicę swych przekonań — jako jeden z owych geniuszów, nieśczęśliwych, o których zwykliśmy powiadać, że, przyszedłszy na świat zawczasie, zostali zapoznani i potępieni przez swój wiek niedojrzały. Lilit wyprzedziła epokę, którą ją mogła być zrozumieć i z jej doktrynami sympatyzować, o całe 60 wieków Adam jej nie pojmował, a rabini ją potępiłi.

Chcemy poddać decyzji światłych czytelników: kto z nas ma rację; czy mądry i stary rabin, oraz uczony ich tłumacz, obaj zgorszeni nad opis wszelkiej zuchwalstwa Lility w objawianiu swych myśli, żądań i lekceważeniu żelaznych praw swego czasu — czy też my, którym gniew jej małżonka na jej słuszne roszczenia wydaje się nagannym, argumenta zaś, jakimi ją gromił, nielepszymi od wielu tejsze treści plodów, piór faryzeuszowych? Oczekując tej decyzji, powtarzamy opowieść gospodarza naszego w formie otyle wiernej, oile pamięć pozwala. Jesliby niektóre jej ustępy wydały się podstępą satyrą na płytkie wywody myślicieli przeciwnej szkoły, niech nam będzie udzielone przebaczenie. Nic nie dodaliśmy własnego, ale uszanowanie dla prawdy historycznej nie pozwoliło także niczego wypuścić ze słów Adama.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów we Wrześniu 1881 r.

Nowy gmach sejmowy. — Tępy akwarella do pamiątkowego albumu arcyksięcia Rudolfa. — Wystawa sztuk pięknych. — Obrazy przeznaczone do wylosowania. — Nagrobek Dra Bajzera. — Przemowa rabina Lewensztajna. — Kantor Darewski. — Sprawa żydow-

ska. — G. Kohn i jego wydawnictwa. — Wędrowki Ahaswera, przekład poematu Zedlitza. — Wystawa ogrodnicza i pszczelnicza. — Koncerty księżny Marcelliny Czartoryskiej. — Odczyty podróżnika Żaby. — Teatr.

(Dokończenie)

Piękny marmurowy pomnik stanął na cmentarzu żydowskim, kosztem miasta, na grobie d-ra Bajzera. Wiecie kto był d-r Bajzer, w swoim bowiem czasie pisałem o tej zacnej duszy, o tym szlachetnym oryginale i bez granic poświęconym filantropie, o jego dobroczynności i zasługach prawdziwie chrześcijańskich, choć chrześcijaninem nie był. Dla uczczenia tych zasług aktem publicznym uchwaliła Rada Miejska postawienie mu pomnika, a uroczysta inauguracja tego nagrobka odbyła się przed kilku dniami. Wiceprezydent miasta na czele Rady Miejskiej, przełożeni gminy żydowskiej i rozmaitych zakładów dobroczynnych, najznakomitsi dostojnicy naszego miasta znajdowali się na tej uroczystości wespół z niezliczonych tłumów ludności obu wyznań, dla której d-r Bajzer był przez parę dziesiątków lat, odkad zamieszkał stale we Lwowie, dobroczyńcą, pocieszycielem, rzec można, opiekuńczym aniołem. Nietylko że ostatni grosz oddawał on ubogim, pozostawiając sobie zaledwo tyle, ile na konieczne potrzeby życia niezbędnie potrzebował, ale zdarzało się, że oddawał ubogiemu własną z siebie koszulę, jedyną parę butów, płaszcz na okrycie drżącego, skostniałego od zimna ciała. Uwydatnił te zasługi w swej przemowie wiceprezydent miasta Dąbrowski, a obszerniej rozwiódł się nad nimi prezes Stowarzyszenia tutejszego „Szomer Izrael“, kiedy dziękował miastu za takie uczczenie pamięci Izraelity. Dłuższą następnie przemowę do zgromadzonych miał na text biblijny rabin i kaznodzieja, Lewensztajn, znakomity mówca, świetny improwizator, którego krasomówczy improwizatorski talent, znany tutaj powszechnie, gromadzi na jego kazania i przemowy licznych słuchaczy ze sfer inteligencji nietylko moższowego wyznania. Poraz pierwszy rabin Lewensztajn przemówił przy tej okazji popolsku, dotąd bowiem mawiał zazwyczaj tylko po niemiecku, nie czując się dosyć mocnym w języku polskim. Praca wszakże przemaga wszystkie trudności: dowód tego złożył kaznodzieja w niniejszej swojej przemowie, tłumacząc się równie dobrze, z równą swadą krasomówczą i potęgą wyrazową, jakie ma zazwyczaj w kazaniach swych niemieckich. Uroczystość zakończyło odśpiewanie kilku hymnów religijnych w języku hebrajskim i polskim przez chóry tutejszej synagogi, znakomicie wykształcone pod kierunkiem kantora Darewskiego, który śpiewy niemieckie w głównej synagodze tutejszej zastąpił polskimi. Pod względem muzycznym chóry te oddawna posiadały sławę wielkiego udoskonalenia i z przyjemnością przy każdej większej uroczystości śpieszono przysłuchiwać się pieśniom religijnym w głównej bożnicy. Od czasu jednak, gdy p. Darewski objął ster chórów, postąpiły one jeszcze znacznie. On sam jest dla chórów nieposłednią siłą wokalną; ma głos tenorowy; był przez sześć lat śpiewakiem w Medyolanie, później przez dłuższy czas w Londynie przy operze włoskiej. Do Lwowa przybył z Pięciokościołów (Fünfkirchen) na Węgrzech, gdzie ostatnimi czasy był kantorem tamtejszej bożnicy. Głównym powodem do powołania go z tamtąd na opróżnioną posadę kantora, z pominięciem innych zgłaszających się drogą konkursu spółzawodników, była znajomość polskiego języka, niezbędna przy zamierzonej wówczas reorganizacji chórów, którą p. Darewski, jak się przy powyższej przekonał, my sposobności, szczęśliwie przeprowadził.

Gdyby społeczeństwo nasze żydowskie posiadało wielu takich ludzi, jak nieboszczyk Bajzer, pojmujących potrzebę łączności społecznej i miłością kraju ogrzanych, natenczas sprawa, tak zwana żydowska, doczekałaby się wnet pomyślnego rozwiązania w sposób pojednawczy i spokojny; umilkłyby tkwiące jeszcze dzisiaj w łonie społeczeństwa naszego antagonizmy, zgąsło z czasem żarzewie wzajemnych niechęci. Czyni się u nas wiele w tym kierunku, a mianowicie szkoły nasze, te, w których młodzież żydowska wspólnie z chrześcijańską pobiera naukę, umysł zdrowi napawa-

wając w nich wyobrażeniami, wiele dobrego w tym kierunku wywierają, i można być pewnym, że nowe pokolenie z nowego już stanowiska na sprawę żydowską się zapatrując, rozwiązanie jej przyspieszy. Nim to jednak nastąpi, nim przysze dorośnie pokolenie, zadanie utrzymania i utrwalenia łączności społecznej pomiędzy ludnością chrześcijańską a żydowską i przyswojenia zwolna krajowi tego żywiołu, który dotąd ze szkodą obopólną wyróżniał się i trzymał po większej części odrębnie, to mówię zadanie spoczywa dziś w ręku jednostek, podobnie jak Dr. Bajzer pojmujących stanowisko i obowiązki żydów w naszym społeczeństwie i usiłujących wyobrażenia te czynem i słowem szerzyć pomiędzy swymi spółwyznawcami. Mamy dość już liczny zastęp pracowników na tem polu. W gronie tutejszych adwokatów, lekarzy, w samej zwierzchności tutejszej gminy żydowskiej, znajdują się ludzie obdarzeni energią, bystrym poglądem i zacnością uczuć, używający całego swego wpływu na to, aby szerzyć w szerokich kołach gminy żydowskiej pojęcie obowiązków względem kraju i społeczeństwa. W sejmie zasiada kilku powszechnie szanowanych posłów żydów, będących wyobraźicielami powyższej dążności. Nie potrzeba wszakże być koniecznie posłem i ze stanowiska już swego mieć otwarte obszerne pole wpływu, aby stać się pożytecznym krajowi. Przy dobrych chęciach, gorącej duszy i szczerej miłości, można i w kole szeregowym stosunków powszednich działać pożytecznie, i ziarno po ziarnku ostatecznie wiele dobrego rzucić posiewu. Pozwólcie, że mały przykład przytoczę.

Przed laty trzydziestu kilku żył we Lwowie poważany powszechnie rabin, przełożony tutejszej gminy żydowskiej, Kohn; był to człowiek postępowy, zacny i kraj kochający. Usiłował też w tym kierunku ze stanowiska swego wpływać na żydów, czem sobie u zagorzałych starowierców zaciętych zyskiwał nieprzyjaciół. Zawziętość ta do tego doszła stopnia, iż w roku 1848 pewnego razu zbrodnica ręka, prawdopodobnie fanatyzmem kierowana, wyspała trucizną do przygotowanego jadła. Trucizna była tak gwałtowną, że natychmiast po spożyciu zatrutego pokarmu wyzionął ducha rabin, jego żona i kilkoro rodziny, pomimo jaknajenergicznej pomocy lekarskiej. Dzieci, najmłodsze, powiodło się uratować, ale gwałtowna trucizna pokurczyła mu członki, powygięła kości i pozostawiła je na całe życie skarlalym kaleką o kulach. W duszy jednak dziecięcia tego pozostała niestłumiona iskra zacności ojcowskiej, pocziwych uczuć żarzewie. I z biegiem lat wzrastało w nim zamięłowanie polskości i polskiej literatury. Kohn, osiadłszy przy rodzinie w Samborze, podobnie jak Dr. Bajzer, każdy swój grosz oddaje ubogim, którzy w dni oznaczone co tydzień gromadzą się u niego po wsparcie, a czas swój cały poświęca literaturze. Od lat kilku wydaje rocznikami pismo zbiorowe, którego już cztery tomy prasę opuściło. Dochód cały poświęca na cele dobroczynne, a krzewienie oświaty i polskości pomiędzy spółwyznawcami, głównym jest jego zadaniem. Pism swoich, w których gromadzi artykuły rozmaitego pióra, poczęści młodzieży żydowskiej, jak panny Idy Taubelesówny, nauczycielki szkół ludowych i innych garnących się do pióra młodych autorów, sam jest wydawcą i kolporterem zarazem. Po wydaniu każdego tomu wsiada na wózek i puszcza się w objazd po kraju, aby rozpowszechniać książkę w tych sferach, dla których jest ona przeznaczona. Kto zna przykrość takiego kolporterstwa, ten oceni poświęcenie podjęte bez widoku najmniejszego osobistego zysku, zwłaszcza przy znękanu fizycznym, z powodu dokuczliwej ułomności. Fundusz zebrany z rozprzedaży idzie na nakład dalszego wydawnictwa, a pozostała przewyżka — na cele dobroczynne i naukowe. Krytykowano kilkakrotnie bardzo surowo wydawnictwo Kohna, i zapewne że ze stanowiska krytyki ściśle literackiej, nie odpowiada ono wymaganiom, ale uczciwiej pracy Kohna, nie należy oceniać bezwzględnie miarą wartości literackiej. Wnaszych stosunkach szerzenie oświaty i polszczyzny pomiędzy żydami jest zasługą, mającą swe znaczenie doniosłe poza sferą ściśle literacką; i dlatego właśnie rozpisałem się

niedługo nad zamiar pierwotny o tem wydawnictwie samborskiem. Czemuż zresztą starsi pisarze, pióra wytrawniejsze nie dopomogą mu i nie przyczynią się do podniesienia literackiej wartości wydawnictwa, na którego krytykowaniu się ograniczają? Nikt nie czyni więcej niż może, ale jeżeli czyni w kółku swoim dla publicznego dobra tyle, na ile mu sił starczy, z całą gorliwością niezłamanego trudności ducha, to już uczynił wiele, i trudno po nim sumiennie więcej wymagać.

Wzmiankę powyższą o Kohnie nasunęła mi wydana przezeń świeżo książeczka *Wędrowki Ahaswera*, poemat Józefa Krystyna Zedlitz, przełożony wierszem rymowym. Jest to poemat allegoryczny, na tle podania osnuty. Tłómacz starał się oddać wiernie myśl oryginału, chociaż nie trzymał go się dosłownie. Przekład jest udatny i czyta się z przyjemnością.

W tych dniach otwarto wystawę ogrodniczo-pszczelniczą, na terytorium strzelnicy miejskiej. Są tu rzeczy godne widzenia, przysłane z prowincji z większych majątków, tudzież przez ogrodników miejscowych. Włóścianin nasz nie pielęgnuje jeszcze warzywnego ogrodu, ani sadu, w tym stopniu, aby miał się czem popisać na wystawie, lub szukał w tem chluby: wystawa zatem nie przedstawia obrazu sadownictwa w kraju, lecz daje miarę czego w tym kierunku dokonali niektórzy znani u nas nie od dzisiaj pomologowie. Z tem wszystkim popis ten, chociaż ograniczający się do szczególniejszego wystawców grona, okazy przedstawiają się pięknie na pierwszy rzut oka. Umieszczono ją, częścią pod dachem w otwartym podłużnym pawilonie ogrodowym, częścią pod gołym niebem w ogrodzie otaczającym strzelnicę, częścią zaś w samym jej gmachu w salonach pierwszego piętra, mianowicie wystawę kwiatów. Pawilon ogrodowy przeznaczono na owoce i warzywa. Wzdłuż ścian stały oszklone szafy z owocami, mianowicie: jabłkami, gruszkami i winogrodem — po drugiej stronie na stołach rozłożone wszelkiego rodzaju warzywa, zdumiewające niekiedy swym ogromem — buraki, jak olbrzymie głowy cukru, olbrzymią fryzowaną kapustę, galarepę, cebule jak główki dziecięce, dynie jak baryłki i t. p. Wszystko to ujęto w ramy drzew i kwiatów egzotycznych; drewniane słupy zamaskowano smukłemi cyprysami. W ogromnych donicach ustawione drzewa wawrzynowe i inne, wspaniale przyozdabiają widok pawilonu. W dziale pszczelniczym znajdują się rozmaitego pomysłu i kształtu ule, pojedyncze i podwójne, będące po większej części udoskonaleniem wzorów Dzierżonowskich. Pomiędzy innemi zwracają uwagę ule słomiane, łatwe do wyrabiania a bardzo pożądane w okolicach ubogich w drzewo. Pocięszającym znamię tegorocznej wystawy jest to, iż przysłały na nią swe okazy niektóre szkoły ludowe, z czego przekonywamy się, iż wielu nauczycieli ludowych pielęgnuje obok zabudowań szkolnych, szkółki drzew owocowych uszlachetnionych, warzywa i pasieki, starając się o zaznajomienie dziatwy wiejskiej z pielęgnowaniem tychże.

I tak przysłały na wystawę rozmaite przedmioty szkoły ludowe w Besku, Brzozowie, Siemiechowie, Skoloszowie i t. d. W tej ostatniej miejscowości nauczyciel tamtejszy pan Tekliński doprowadził już szkółkę swą prawie do 1,500 szczepów uszlachetnionych, co zaiste powinno być zachęcającym przykładem dla innych nauczycieli ludowych. Ogrody tutejszego Zakładu Głuchoniemych, Szpitala głównego, Zakładu obłąkanych na Kulpartowie, konwentu OO. Franciszkanów, wystawiły szczepy i warzywa. Z zamiejscowych przepysznie przedstawia się zbiór owoców „Państwa Łanuckiego“, hr. Alfreda Potockiego, zwłaszcza z rzadkiej piękności i dobroci gruszkami, a jabłkami i wi-

nograd p. Staszewskiego z Boguchwały, szczególniejszą zwracają na siebie uwagę. Wystawa p. Kuczyńskiego, ogrodnika miejskiego w Tarnopolu; do najwybitniejszych należy. Ogrodnicy lwowscy: pp. Klimowicz, Piątkowski, Woliński i inni dostarczyli warzywa i kwiatów. Odnacza się zwłaszcza dekoracyjna wystawa krzewów i kwiatów p. Wolińskiego.

Naostatek nie można też pominąć owoców suszonych braci Lityńskich. Założona przez nich sztuczna suszarnia, doskonale konserwuje owoce przeznaczone na przechowanie i na wywóz za granicę. Suszarnie takie, na większy rozmiar urządzone, mogą bardzo ułatwić obrotom galicyjskim, mianowicie za granicę, do Rosyi, gdzie wiele owoców suszonych potrzebują.

Mieliśmy też temi dniami dwa koncerty księżny Marcelliny Czartoryskiej, przeznaczone na cele dobroczynne, i dwa odezły p. Żaby, wieloletniego podróżnika po wszystkich częściach świata, o jego podróży do Ameryki i Australii. Na pierwszym koncercie księżna Czartoryska grała dzieła klasyczne kompozytorów obcych, mianowicie Beethovena i t. p. Drugi koncert był poświęcony wyłącznie Szopenowi, którego księżna, jak wiadomo, jest jedną z najznakomitszych wykonawczyń na całym świecie. Pojęcie ducha utworów Szopenowskich dochodzi w grze jej do szczytu artyzmu, czego dowodem był i koncert obecny. Zgromadził on wszystko, coby tylko świat muzyczny i towarzyski we Lwowie posiada najznakomitszego. Wrażenie doznanych, uroku tej muzyki opisywać nie będę, bo to się opisać nie da. Harmonii tonów nie podobna ująć słowami. Koncerty księżnej były dla tutejszego świata muzycznego niezwykłą, można powiedzieć, uroczystością.

Dwie prelekcje p. Żaby, wygłoszone z pamięci, zajęły publiczność już samą nowością, swej treści. Prelegent przedsięwziął oprowadzić słuchaczy po krainach tak mało znanych, po tak dalekich oceanach i wyspach, po okolicach różniących się tak bardzo od naszej części świata, wszystkimi właściwościami natury i odmienną cywilizacją, iż zapowiedź tych prelekcji obudziła żywą ciekawość. Pan Żaba rozpoczął swój wykład od opisu inauguracji pierwszej kolei żelaznej w Anglii, której był obecny i rzucił przy tej sposobności parę trafnych uwag o znaczeniu ogólnem wynalazku kolei żelaznych dla postępu cywilizacji. Z całego tego tłumu ludności, co z bliższych i dalszych okolic zbiegła się gromadnie, tłocząc się na wielomilowej przestrzeni wzdłuż kolei, aby obaczyć to dziwowskie przemysłu i twórczej myśli człowieka, każdy wrócił do domu z myślą rozbudzoną i buchającą z komina pierwszej lokomotywy iskier miliony. Skrami cywilizacji rozsypały się pod dachy wieśniacze i ducha ludzkości nowym ożywiły płomieniem. Ale lądy, chociażby powiązane z sobą siecią kolei, przerzucających podróżnika w kilka godzin z jednego kraju w drugi, nie wystarczają podróżnikowi, którego umysł ciekawością rozbudzony, w najdalsze świata rwie się okolice i bezustannego pragnie ruchu. Radby on przemierzyć Atlantyk, zapoznać się z cudami nowego świata, poznać wyspy Oceanu Spokojnego, oprzeć się o brzegi Australii, po to, aby wśród wszystkich tych przygód i osobliwości tęsknić nieprzerwanie i coraz to silniej do stron swoich własnych, do strzechy rodzinnej i pod brzemieniem tej tęsknoty myśleć nieustannie o jaknajrychlejszym powrocie do ojczyzny. Pan Żaba opowiedział obszernie o zajęciach publiczności okrętowej w ciągu podróży przez Atlantyk, urządzenia hotelowe w Nowym-Yorku, podróż kolejną najdłuższą w świecie z Nowego-Yorku do San-Francisco, i kolej Peruwiańską, prowadzoną przez niebotyczne góry, przez inżynierów Polaków, której budowę nazwać mo-

żna najwyższym szczytem umiejętności i sztuki. Z Ameryki Oceanem Spokojnym udał się p. Żaba na wyspy Sandwich, mieszkał w Honolulu, przez dłuższy czas był gościem podejmowanym na dworze króla Kalakua, który w roku bieżącym zwiedzał Europę. Pan Żaba okazał słuchaczom niektóre przywiezione z tamtąd osobistości, jako to: naszyjnik, z muszli ofiarowany mu na pamiątkę w darze przez króla Kalakua, i drugi, od matki królewskiej, także naszyjnik, kunsztownie niszany z ziarenek akacyowych. Najciekawszą z tych osobliwości był miecz któregoś z bohaterów wyspiarzy, drewniany a po obu stronach wzdłuż ostrza nabijany zębami rekinów, — broń straszna, której uderzenie bolesniejsze i groźniejsze od cięcia naszego zwykłego pałasza. Rzecz naturalna, iż wszystkie te osobliwości oglądano ciekawie. Wykład był popularny w całym tego słowa znaczeniu. Odnaczał się swadą potoczną, pięknym stylem. Opowiadanie nosiło charakter anegdotyczny, przeplatane było ustępami przytaczanymi z poezji Mickiewicza, podnoszącymi wrażenie opowieści. Głębszej atoli wartości naukowej wykłady p. Żaby nie miały. Ograniczał on się powiększej części na opowiadaniu pomniejszych przygód hotelowych, wypadków niemających ogólniejszego znaczenia, zabaw okrętowych i t. p. Ryśów obyczajowych, charakteryzujących kraje, które zwiedził, społeczeństwa, które poznał, rozmaite stopnie cywilizacji szerszych poglądów wogóle i oryginalnych spostrzeżeń niewiele znalazło się w tem opowiadaniu, przeznaczonem dla publiczności o dłuższym promieniu.

Teatr nasz przeniósł się już z swej letniej siedziby przy ulicy Majerowskiej, na stałe mieszkanie do gmachu Skarbowski. Przenosiny zainaugurował p. Miłaszewski *Horsztyńskim* Słowackiego; ale epoka operetki nie przeżyła się jeszcze u nas, pomimo wielokrotnych usiłowań p. Miłaszewskiego: sprowadzenia smaku publiczności na inne, poważniejsze tory. Świadkiem tego nieudale próby z *Kiejstulem* Asnyka, *Horsztyńskim* i kilku innemi dramatai wprowadzonymi na scenę przez teraźniejszą dyrekcję pomimo wielkiej staranności i kosztów wystawy. Najulubieńszemi zawsze dla publiczności tutejszej bywają takie rzeczy jak *Kapelusz bandyty*, lub *Chusteczka królowej*, *Kadet okrętowy*, *Boccacio* i t. p. Śród takich okoliczności dyrekcja zniewolona jest lawirować nader kunsztownie pomiędzy koniecznymi wymaganiami kasy a bardziej artystycznymi zadaniami sceny. Smak publiczności, z którym się niezmiennie liczyć wypada, jest jak rumak kapryśny, którego naprzemian to głaść, to ściągać wędzidłem potrzeba, aby się zezasem pozbył długiem przyzwyczajeniem nabranych narowów. Nim p. Miłaszewski do tego dojdzie, zapewne dużo jeszcze wody upłynie i dużo będzie jeszcze musiał przedstawić operetek, *Kapeluszy* i *Chusteczek*. Tymczasem scena nasza, pomimo wielu nieprzyjanych okoliczności, jest na tej stopie, że wytrzyma najsurowszą krytykę, czy to chodzi o przedstawienie francuskiej komedii lub dramatu, jak *Daniel Rochat*, czy szczerzo-swojskiej krotokhwi, jak *Grube ryby* Bałuckiego, czy Szekspirowskiej tragedii. Obecnie stara się p. Miłaszewski o skompletowanie opery na sezon zimowy, do czego wszakże potrzeba koniecznie, aby sejm podwyższył dawaną na ten cel, bardzo niedostateczną, subwencję.

Władysław Zawadzki.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się dalszy ciąg powieści pod tyt.: *Marek*; oraz dalszy ciąg powieści pod tyt.: *Warto się namysleć*.

Ogłoszenia do BLUSZCZU przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy BERNARDA BERSOHN w Warszawie przy ulicy Nowy-Świat Nr 67.

TREŚĆ. Pogawędka. — Ostatni list, (dokończenie), przez A. Ch..... — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — Listy krakowskie, II. — Legenda o Lilicie, przez Sygurda Wiśniowskiego. — Korrespondencya zagraniczna, (dokończenie), Lwów.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Доволено Цензурою.

Варшава, 27 Октября 1881 года.